

Dlaczego dla Palestyńczyków jutro nie nadchodzi nigdy?

10 listopada 2011

Od czasów starożytnych dręczył logików sformułowany przez greckiego filozofa Zenona paradoks – czy Achilles prędkonogi wygra wyścig, jeśli na początku da rywalowi stumetrową przewagę? Nie, odpowiada Zenon – bowiem bohater Iliady musi najpierw przebiec połowę tego odcinka, a wcześniej połowę tej połowy – i tak w nieskończoność. Dystans między nimi nigdy nie zmniejszy się do zera. W takiej właśnie sytuacji znalazła się Organizacja Wyzwolenia Palestyny w pogoni za państwem.

Każdy kolejny pokonany etap zdaje się przybliżać do celu, lecz zawsze pozostaje połowa drogi do przebiegnięcia, ostatni warunek do spełnienia, jeszcze jedno niezbędne ustępstwo. W 1999 r. Organizacja Wyzwolenia Palestyny zapowiedziała proklamowanie państwa palestyńskiego po upłynięciu wyznaczonego przez porozumienia z Oslo z 1993 r. przejściowego okresu rządów Palestyńskich Władz Narodowych (tzw. Autonomii Palestyńskiej). Pod wpływem nacisków USA i Unii Europejskiej skończyło się na odroczeniu, w zamian za obietnicę UE na szczycie w Berlinie w marcu 1999 „rozważenia możliwości uznania państwa palestyńskiego”.

DŁUGA HISTORIA OBIETNIC BEZ POKRYCIA

W marcu 2002 r. rada bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych ogłosiła poparcie dla idei regionu, w którym współistniałyby dwa państwa, Izrael i Palestyna. W następnym roku Kwartet madrycki (USA, UE, Rosja i ONZ) opublikował Plan Pokojowy dla Bliskiego Wschodu, przewidujący powstanie państwa palestyńskiego przed końcem 2005 r. Po zamrożeniu negocjacji prezydent George W. Bush zwołał w listopadzie 2007 r. w Annapolis jedno z tych lubianych przez „społeczność międzynarodową” medialnych spotkań, w czasie których występują

obok siebie zgodnie Europa i Rosja, Syria i Egipt, Palestyńczycy i Izraelczycy. Zapowiedziano wtedy jako ostateczną datę koniec roku 2008. 23 września 2010, przemawiając przed Zgromadzeniem Generalnym Organizacji Narodów Zjednoczonych prezydent Barack Obama wyraził nadzieję, że Palestyna zostanie członkiem ONZ we wrześniu 2011 r. Rok później sprzeciwia się jej przyjęciu.

To ciągłe robienie sobie z gęby cholewy sprawiło, że palestyńskie władze zwróciły się bezpośrednio do ONZ, uwalniając się od bilateralnych negocjacji i „wstępnych warunków” przypominających bajkę o „wolnym” lisie walczącym w „wolnym” kurniku. Tym samym przyznały, że stosowana do tej pory strategia okazała się totalnie nieskuteczna.

ZBROJNA DROGA KU NEGOCJACJOM

W 1969 r., po porażce arabskiej z czerwca 1967[1] zbrojne ruchy fedainów przejęły kontrolę nad Organizacją Wyzwolenia Palestyny i pozbyły się dawnego przywództwa, które zawiodło podporządkowując się arabskim reżimom. Nowy kierunek działania OWP wspierał się na trzech filarach: na walce zbrojnej, (metodzie wówczas uprzywilejowanej w świecie zwanym trzecim, w którym trzeba było, jak mawiał Che Gwara „stworzyć dwa, trzy, tysiąc Wietnamów”); na wyzwoleniu całej Palestyny (a zatem zniszczeniu syjonistycznych struktur Izraela) i zbudowaniu demokratycznego państwa, w którym współistniełoby muzułmanie, Żydzi i chrześcijanie; oraz na niezawisłości palestyńskich decyzji (zwłaszcza ich niezależności od państw arabskich).

Głównym sukcesem OWP było zgromadzenie pod swoim sztandarem wszystkich Palestyńczyków – od pracujących w Kuwejcie inżynierów, poprzez uchodźców z libańskich obozów w Bourj Al-Barajneh, po chłopów z Hebronu; wzmocnienie ich jedności i wyrażenie ich pragnienia niepodległości. Z kolei porażka walki zbrojnej, odmowa wielkiej części Izraelczyków przyjęcia demokratycznej utopii oraz fakt, że nawet sprzymierzeńcy OWP, zwłaszcza ci z „obozu socjalistycznego” nie chcieli przyczynić

się do unicestwienia Izraela – to wszystko doprowadziło do wyboru drogi dyplomatycznej.

Organizacja Wyzwolenia Palestyny ma już w tej dziedzinie wiele sukcesów. Nie tylko wpisała Palestynę na polityczną mapę świata (los tego narodu nie jest już widziany w perspektywie „problemu z uchodźcami”, ale w kontekście prawa do samostanowienia), lecz także została uznana przez kraje arabskie za „jedynego przedstawiciela narodu palestyńskiego”. W 1974 r. Jasera Arafata przyjmowano z honorami w Nowym Jorku w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ, którego OWP stała się członkiem-observed.

Jednak starania te rozбивały się zawsze o dwie wciąż te same przeszkody: Izrael i Stany Zjednoczone odmawiały negocjacji z „organizacją terrorystyczną”. Trzeba było jeszcze długich lat, niekończących się targów, a przede wszystkim wybuchu w grudniu 1987 r. „intifady kamieni”, aby wszyscy zrozumieli, jak niebezpieczny jest status quo, aby w Izraelu podniosły się liczne głosy wzywające do szukania kompromisu. W listopadzie 1988 r. Palestyńska Rada Narodowa proklamowała niepodległość państwa palestyńskiego i uznała projekt podziału Palestyny przegłosowany przez Zgromadzenie Ogólne ONZ 29 listopada 1947 r.

Jaser Arafat potwierdził swoje zamiary przed ZO ONZ w Genewie 13 grudnia 1988 r. Jednak Waszyngton był wciąż nieusatysfakcjonowany. Tydzień później palestyński przywódca odczytał deklarację – zredagowaną przez rząd amerykański! [2] – potwierdzającą rezygnację z terroryzmu, przyjęcie rezolucji 242 Rady Bezpieczeństwa ONZ [3] i uznanie państwa Izrael. Jak się zdawało pewna strona historii została zamknięta. Nowa otwierała się wraz z porozumieniami w Oslo i uściskiem dłoni Arafata i Icchaka Rabina 13 września 1993 r., na tarasie Białego Domu, pod czujnym okiem prezydenta Billa Clintona.

BILANS PROCESU POKOJOWEGO

Osiemnaście lat później droga, jaką poszedł Arafat zdaje się ślepa uliczką. Nie udało się ustanowić palestyńskiej niepodległości ani na Zachodnim Brzegu, ani w Jerozolimie, ani nawet w strefie A[4]; mnożą się izraelskie wypadki, w czasie których każdy Palestyńczyk może być aresztowany. Liczba osadników na Zachodnim Brzegu w 1993 r. wynosiła 100 tys., dziś sięga 300 tys., zaś w Jerozolimie wzrosła ze 150 tys. do 200 tys. Gospodarka jest tłamszona, doniesienia o boomie, jaki przeżywają te tereny pomijają fakt, że tylko mała część społeczeństwa z tego korzysta, a PKB na mieszkańca jest niższe niż w 2000 r.[5]. Palestyńskie Władze Narodowe skutecznie współpracują z izraelskim okupantem w walce z terroryzmem, jednocześnie narzucając autorytarną władzę przypominającą tę z sąsiednich krajów arabskich.

Tę porażkę palestyńscy wyborcy ocenili głosując w styczniu 2006 r. na Hamas, którego zwycięstwo zostało zresztą zaraz skonfiskowane przez „społeczność międzynarodową” sprzymierzoną z Mahmudem Abbasem, który mógł dalej nieprzerwanie prowadzić swoje negocjacje. Ale Hamas nie oferuje Palestyńczykom bardziej przekonującej strategii niż OWP. Odwołuje się do walki zbrojnej, lecz jego sukcesy w tej dziedzinie, podobnie jak organizacji fedainów po 1967 r., są bardzo skromne. Od ponad dwóch lat narzuca zawieszenie broni z Izraelem wszystkim palestyńskim organizacjom w Strefie Gazy. A jeśli chodzi o autorytaryzm, idzie w zawody z Abbasem.

ARABSKA WIOSNA TASUJE KARTY

Ten kryzys, z Fatahem i Hamasem z dwóch stron uczepionymi władzy, mógłby trwać bez końca, gdyby nie nowe rozdanie kart czyli arabska wiosna. Najpierw upadek reżimów w Tunezji i Egipcie, potem twarda postawa Turcji wobec Izraela, osłabiły Waszyngton i Tel-Awiw, pozbawiły też Abbasa silnego sprzymierzeńca, jakim był prezydent Hosni Mubarak. Z kolei powstanie w Syrii nie w smak było Hamasowi. Pogłębia się rozczarowanie postawą prezydenta Baracka Obamy, niezdolnego wpłynąć na swojego sprzymierzeńca Benjamina Netanjahu

(izraelskiego premiera).

Z kolei w Izraelu zdecydowana większość obywateli, naznaczonych traumą drugiej intifady i karmionych oficjalną propagandą, mimo wystąpień neoliberalnej opozycji stoi murem za swoim rządem. A Netanjahu jawi się jako polityk niemal umiarkowany w porównaniu z ministrem spraw zagranicznych Awigdorem Liebermanem. Pani Szelli Jachimowicz, posłanka do Knesetu i ważna osoba we władzach Partii Pracy, oświadczyła ostatnio, że projekt kolonizacji nie był „ani grzechem, ani zbrodnią”, bo został stworzony właśnie przez jej partię (co jest prawdą), a zatem był „całkowicie jednomyślny”. Komentując tę wypowiedź były szef Kongresu Żydów Amerykańskich Henry Siegman zauważył: „Zostawmy na boku dziwaczne przekonanie, że zgoda zawarta przez złodziei uprawomocnia kradzież. Ale jeśli takiej postawy bronią dziś izraelscy laburzyści, jak można wierzyć w jakąkolwiek perspektywę pokoju?[6]

Ale właściwie dlaczego Izraelczycy mieliby rezygnować ze status quo? Na Zachodnim Brzegu panuje porządek, co zawdzięczają głównie współpracy z Palestyńczykami. Międzynarodowa izolacja nie ma dla Izraela zbyt poważnych konsekwencji, dopóki Stany Zjednoczone i Unia Europejska podtrzymują i rozszerzają jego przywileje handlowe, gospodarcze i polityczne. Izrael właśnie został członkiem-observatorem CERN-u, Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych (zapewne to kara za wojskowy program jądrowy). Bez międzynarodowych sankcji i rosnącej izolacji, bez poważnej mobilizacji ludności, licząc jedynie na dobrą wolę białej społeczności, RPA nigdy nie poradziłoby sobie z apartheidem.

Niemożliwość uzyskania czegokolwiek przez OWP drogą samych negocjacji, oraz wybuch arabskich rewolucji skłonił Abbasa do wystąpienia przed ONZ. Ale znaczenie takiego kroku trudno na razie zmierzyć. Czy to początek zmiany strategii? Czy chodzi jedynie o podjęcie rokowań z odrobiną lepszej pozycji?

PALESTYŃCZYCY NIE SĄ NAIWNI

Palestyńska ludność pozostaje bardzo sceptyczna wobec inicjatyw tak mocno kontestowanych rządów. Wie zresztą, że niezależnie od wyniku głosowania, następnego dnia znów obudzi się pod okupacją, nawet jeśli izraelskie lub amerykańskie represje są mało prawdopodobne – osłabiłyby jedyne palestyńskiego interlokutora i zagroziły współpracy w kwestii bezpieczeństwa, która jest bardzo na rękę Tel-Awiwowi.

Z kolei użycie prawa weta przez Waszyngton wpłynie na stosunek do niego w całym regionie. Słyszeliśmy, jak były ambasador Arabii Saudyjskiej w USA książę Turki Al-Fayçal, oświadczył, że weto przyspieszyłoby koniec historycznych stosunków między Rijadem a Waszyngtonem (co wydaje się jednak nieco przesadzone)[7]

Status państwa-obserwatora, taki, jaki miała też do 2002 r. Szwajcaria, otworzyłby Palestynie drzwi do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości (MTS) i do Międzynarodowego Trybunału Karnego (MTK)[8]. O ile decyzje tego pierwszego rzadko pociągają za sobą poważniejsze skutki, o tyle możliwość odwołania się do MTK pozwalałaby ścigać izraelskich oficerów, żołnierzy, pułkowników winnych „zbrodni wojennych”, a nawet mogłaby ułatwić postawienie problemu osadników, bo zgodnie ze statutem MTK kolonizacja też jest zbrodnią wojenną[9].

Wszystko to dowodzi, że ramy porozumień z Oslo stały się za wąskie. Pora przyjąć strategię pozwalającą zbudować inny układ sił, korzystając z rewolucji arabskich i mobilizując Palestyńczyków[10]. Czy taką drogą pójdą palestyńscy przywódcy?

Autor: Alain Gresh

Tłumaczenie: Anastazja Dwulit

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)

PRZYPISY

[1] Wojna izraelsko-arabska 1967.

[2] Nieusatysfakcjonowane oświadczeniem w Genewie Stany Zjednoczone domagały się, by sprecyzował je czytając przygotowany przez nich tekst. W zamian mieli zaakceptować rozpoczęcie rozmów z OWP.

[3] Przegłosowana po wojnie, w listopadzie 1967 r. potępia zagarnięcie siłą ziem i określa Palestyńczyków słowem „uchodźcy”.

[4] Zgodnie z porozumieniami z Oslo dokonano podziału na różnym statusie: status A, całkowicie pod kontrolą palestyńską, B – władza palestyńska, ale także Izraela, który był tam (czy jest) odpowiedzialny za bezpieczeństwo, i C – całkowicie pod kontrolą Izraela.

[5] Por. Sandy Tolan, „Ramallah to nie Palestyna”, Le Monde diplomatique – edycja polska, kwiecień 2010.

[6] “September Madness”, Foreign Policy, 15 września 2011.

[7] „Veto a State, Lose an Ally”, The New York Times, 11 września 2011.

[8] Kwestia przystąpienia Palestyny wywołała żywą debatę wśród prawników, nie ma tu miejsca na rozwinięcie tego tematu. Jej streszczenie znaleźć można na stronie english.dohainstitute.org/Home/.

[9] O możliwościach, jakie daje zwrócenie się do ONZ czyt. International Crisis Group, „Curb your enthusiasm: Israel and Palestine after the UN”, Bruksela, 12 września 2011.

[10] Wielu palestyńskich przywódców uważa, że powinna to być droga pokojowa, ale rzeczywistość pokazuje, że armia izraelska potrafi użyć siły także przeciw pokojowym manifestacjom. Patrz: raport B’tselem (izraelska organizacja pozarządowa): Show of Force: Israeli Military Conduct in Weekly Demonstrations in a-Nabi Saleh, 12 września 2011, www.btselem.org